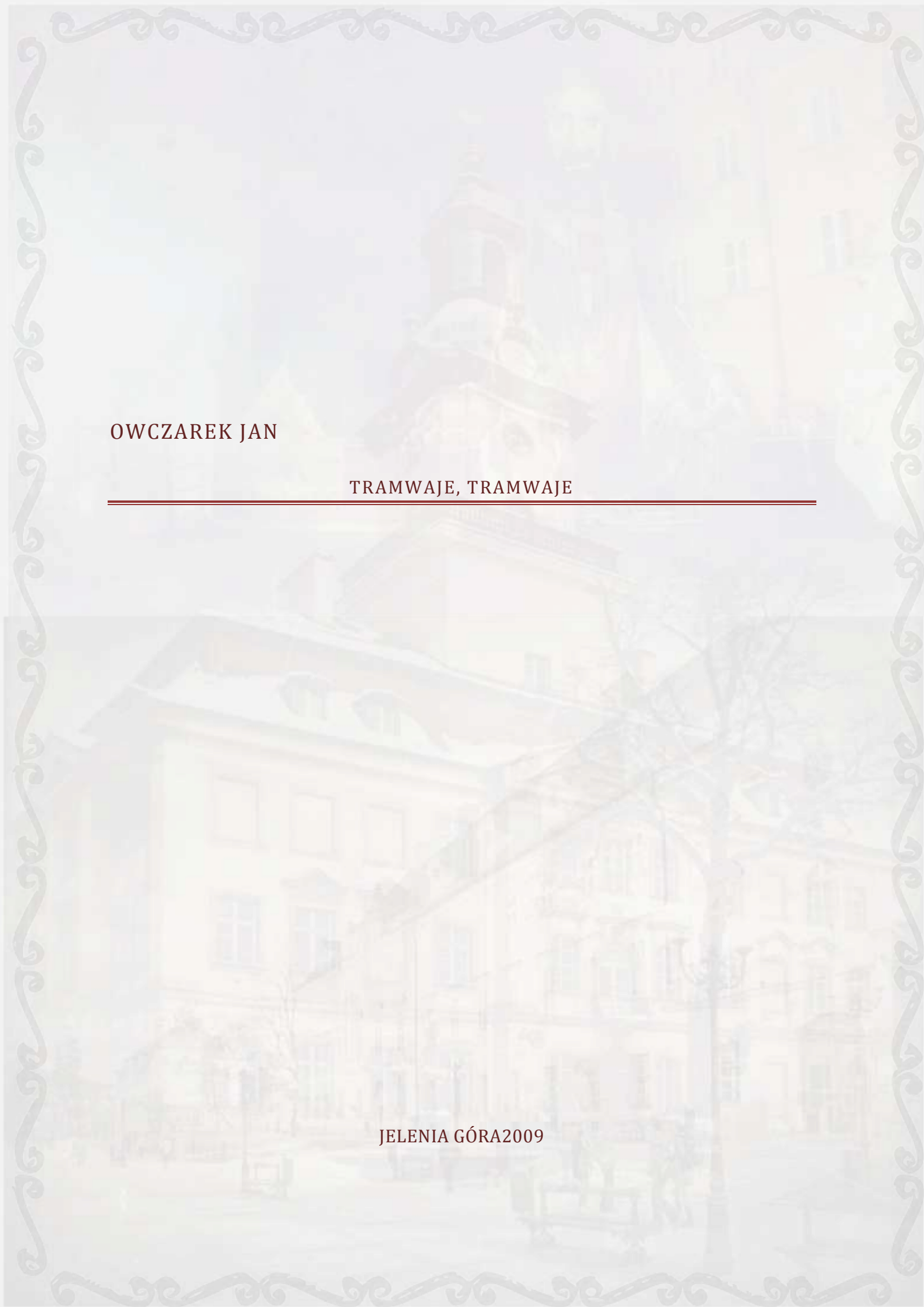




OWCZAREK JAN

TRAMWAJE, TRAMWAJE

---

JELEŃIA GÓRA 2009

Taki sen. Jadę z ojcem tramwajem po ulicach Jeleniej Góry. Tramwaj - stary constal zgrzyta na mijankach. Ojciec, który jest motorniczym, trzyma kierat korby i bierze większy zakres, tramwaj przyśpiesza. Mijają szare domy, sklepowe wystawy, idący chodnikiem zmęczeni ludzie. Światło ulicznych latarni rozjaśnia mocno czerni nocy jak na obrazach van Gogha albo Chagalla. Noc jest pogodna i ciepła, tchnąca letnim spokojem, rozmigotana światłem gwiazd. Jedziemy Wojska Polskiego, wjeżdżamy w Matejki (a przecież nigdy tak tramwaj nie jechał) i przez plac Bieruta bierzemy kierunek do Cieplic.

Te obrazy to senna reminiscencja minionego czasu, odrealniona nieco pamięć dzieciństwa, gdy zdarzało się, że towarzyszyłem rodzicom w pracy, bo obydwójce pracowali w MPK. Pamiętam dobrze tramwajową zajezdnię. Ceglaste budynki z jasnej dobrze wypalanej cegły, szyny prowadzące do tramwajowej sypialni, pełnej tajemniczych dźwięków, iskier, dziwnych metalowych zapachów.

W sali konduktorskiej mamusia robi cedułę, liczy uzbierane ze sprzedaży biletów pieniądze, układa w równe rzędkie, po pięć groszy, po dziesięć groszy, po dwadzieścia i tak dalej, by zdać do kasy dzienny utarg. Ja w tym czasie z zacięciem oglądam bilety. Wbrew pozorom nie są takie same. Na biletach są kolorowe paski, które wizualnie oprócz ceny wskazują ich wartość i kategorię: ulgowe, normalne, jednostrefowe, dwustrefowe. Było ich dużo, w bloczkach po sto sztuk, ściśniętych zębatą żabką w rozłożonej jak księga bileterce.

Inne konduktorki też liczą. Przychodzą następne, wśród nich także mężczyźni. Wszyscy w czarnych lub granatowych mundurach, z -jeśli dobrze pamiętam, bordowymi naszywkami na klapach mundurów. Na naszywkach tramwajowe koło ze skrzydłem, albo z dwoma skrzydłami - już nie pamiętam. Symbole mitologicznego Pegaza lub prędzej Hermesa, który teraz uskrzydla metalowe kolosy. Jeden z konduktorów albo motorniczych śpi rozciągnięty na długiej ławie. Pewnie czeka wypoczywając na swoją zmianę.

Chce mi się do toalety. Mamusia mnie prowadzi. A ubikacja to takie betonowe miejsce z otworem i podestem na postawienie stóp, jakie można było spotkać na stacjach kolejowych i jakie jeszcze się dzisiaj spotyka. Wracamy na salę. Jest jakiś ruch. Pan z biura, które mieści się na pierwszym piętrze, coś ustawia. Kładzie jakieś

dokumenty, szklankę z wodą sodową młoteczek. Inni panowie przynoszą różne rzeczy i stawiają albo kładą koło pana z biura. Teczki, parasolki, czapki, rękawiczki, nawet sanki. Jakieś drobiazgi. Jest wśród nich czarny miś z oczami jasnymi jak miód. Mamusia mówi, że będzie licytacja.

- A co to jest licytacja ? - Pytam.

- To, jak się sprzedaje rzeczy, które ktoś zgubi i nie znajdzie. Jak ktoś zostawi w tramwaju i później się po te rzeczy nie zgłosi - wyjaśnia mamusia.

Przychodzi tatuś. Staje obok nas. Pan z biura coś mówi, pokazuje na jedną ze zgromadzonych rzeczy i mówi, ile ona kosztuje. A z sali ktoś mówi inną liczbę i ktoś jeszcze i ktoś jeszcze z boku po chwili. Wreszcie pan mówi, że teczka jest sprzedana. Po teczce kolej na rękawiczki, potem na czapki, wreszcie pan z biura bierze do ręki misia i chce go sprzedać. A ja bardzo chcę tego misia, bo ma takie dobre oczy, błyszczące się miodową barwą. Mamusia zgłasza, że chce kupić misia. Pan mówi cenę i nikt inny nie chce go kupić. Misiu jest mój. Pewnie go miał jakiś chłopczyk albo dziewczynka, ale misiu został w tramwaju sam. I musiał być bardzo smutny. To będzie mój wielki przyjaciel.

Parasolkę kupuje pan w mundurze, ale nie jest ani konduktorem ani motorniczym. On sprawdza w tramwajach bilety. Bardzo go lubię. Jak jadę z mamusią tramwajem i on wsiada, to mnie o różne rzeczy pyta i się śmiejemy. Ten pan, jak się śmieje, to ma taki złoty ząb. I prze to też go lubię. Mamusia mówi, że to pan kontroler. Czasem dostaję od niego cukierka. Inni też go lubią, ale czasem to on niektórym chłopakom starszym grozi palcem. I muszą wysiąść na najbliższym przystanku, bo nie mają biletu.

Kiedyś, kiedy czekaliśmy zimą w Podgórzynie Górnym na tramwaj, to było widać na śniegu krew. Mamusia mówiła, że to ktoś wpadł pod tramwaj i mu ucięło nogę. Bardzo byłem tym przejęty. W myślach widziałem tę uciętą nogę i bałem się spać. Nawet misiu nic nie pomagał. Mamusia musiała mi włączyć na cicho radio z zielonym okiem. Jak radio mówiło, to się nie bałem. Zielone oko czuwało.

Bardzo lubiłem pochód pierwszomajowy. Pamiętam, z tatusiem staliśmy na placu Bieruta. Z boku, parę metrów dalej, przygląda nam się z pomnika żołnierz w hełmie i z karabinem, który się pochyla ku dziewczynce wręczającej mu kwiaty. W późniejszych czasach dowiedziałem się, że tramwajarze chcieli tego żołnierza, zwanego potocznie

w mieście Wańka, usunąć. W tym celu przywiązali go stalową liną do tramwaju. Jednak tramwaj nie tylko nie przewrócił kamiennego sołdata, ale szarpnięcie spowodowało wypadnięcie wozu z torowiska. Było to chyba w stalinowskich czasach, co musiało się bardzo źle dla realizatorów tej akcji skończyć. Ale wróćmy do pierwszomajowego pochodu. Po ulicy szły rażno tłumy ludzi. Szły pielęgniarki i lekarze w białych fartuchach. Powiewali do nas chorągiewkami. Potem szli leśnicy - wszyscy na zielono. Kolarze mieli trochę podobne mundury do tych, jakie nosili tatuś i mamusia. Wreszcie tramwajarze. Nieśli namalowane i naniesione na dużą sklejkę koło tramwajowe ze skrzydłami. W pierwszym szeregu siedł ten pan kontroler, co go lubię i z którym tak chętnie rozmawiam w tramwaju. Niósł sztandar, na którym też było koło tramwajowe i skrzydła. A inni mieli chorągiewki czerwone i czerwono-białe. Byłem dumny, że przedsiębiorstwo, gdzie pracują moi rodzice tak wspaniale się prezentuje w czasie święta. Potem szliśmy na lody albo kupowaliśmy baloniki albo wiatraczek.

Pewnego dnia wsiedliśmy z mamusią w Podgórzynie Dolnym do autobusu. To też było dla mnie święto, bo do tej pory to jeździłem tylko tramwajami. Po raz pierwszy jechałem szczęśliwy autobusem, który warkotał dobrodusznie szosą wijącą się pośród Stawów Podgórzyńskich do Cieplic. To był jeden z pierwszych autobusów w jeleniogórskim MPK. Najpierw do Podgórzyna, potem do Sobieszowa, do Jeżowa, do Mysłakowic. Nie wiedziałem, że to zapowiedź końca tramwajów w Jeleniej Górze. I że wraz z tramwajami odejdą z miejskiej komunikacji konduktorzy, w tym moja mamusia. Póki, co jednak podróżowanie miejskim autobusem było wielką frajdą.

W tramwajach zdarzały się różne zabawne historie. Mamusia opowiadała, jak w środku zimy wczesnym rankiem do tramwaju wskoczył pasażer w samych kalesonach uciekając przed swoją krewką połowicą. Inny, podpity trochę, umiejętnie naśladował przemówienia Władysława Gomułki wzbudzając niekłamane rozbawienie współpasażerów. Inny jeszcze jegomość wioził papugę, która wykrzykiwała jakieś słowa powszechnie uważane za obelżywe. Zaciekawienie, ale i pewien odruchowy niepokój, wzbudził jadący tramwajem Sturmbannruhrer Hermann Brunner, co prawda po cywilnemu, ale wszyscy go znali z filmu „Stawka większa niż życie” („Nie z nami te numery, Brunner”). W rzeczy samej był to Emil Karewicz, który uczestniczył w nagrywaniu jakiegoś filmu w naszej okolicy. Do powszechnych zdarzeń należało rozglądanie się jadących do Cieplic kuracjuszy w okolicy „Celwiskozy”, która emitowała

specyficzne zapachy, wzbudzające różne podejrzenia u przyjezdnych, co do stanu gastrycznego współpasażerów.

Poszedłem do szkoły. Jazda tramwajem i autobusem mi spowszedniała. Wkrótce miało się okazać, że tramwaj przestanie jeździć po Jeleniej Górze. Póki, co, skrócona została jego trasa. Pętla tramwajowa znajdowała się tuż koło naszego kolejnego miejsca zamieszkania - w Cieplicach - „Pod Koroną”. Tramwaj wyjąc na skrócie sypał setki iskier z pantografu, rozświetlając okolicę, a domy się trzęsły od jego łoskotu i drgań wywoływanych ciężarem wagonów. Bawiliśmy się często na skwerku pośrodku pętli tramwajowej, a wagony śpiewnie nas pozdrowiały syrenim śpiewem spod żelaznych kół. Wreszcie przyszedł dzień, który władze traktowały, jako objawienie nowoczesności, bo tramwaj - przeżytek techniki w ich mniemaniu - wyjechał na ulice Jeleniej Góry i Cieplic po raz ostatni. Jazda w tym dniu była za darmo. Nie jeździłem jak inni ostatnimi tramwajowymi kursami, bo przecież tylekroć wcześniej mogłem zaznać przyjemności jazdy żelaznym wehikułem. Ale tłumy ludzi, zwłaszcza młodzieży i starszych dzieci oblegały wysłużone pojazdy. Tramwaje obciążone winogronami ludzkich ciał wiszącymi na pomostach wozów żegnały się z Jelenią Górą.

Tramwajowa epopeja dobiegła kresu. A przecież ja w moich snach czasami jeżdżę jeleniogórskim tramwajem. Tramwaj dzwoni na odjazd z przystanku. Czerwone wagony odbijają swoją królewską purpurę w toni Stawów Podgórzyńskich. Jadą przez plac Piastowski do Sobieszowa. Stają w zamieci na przystanku na żądanie - niemal w polu - gdzie dzisiaj jest osiedle Orle i gdzie zawsze wysiadał pan Tadeusz Stec, sławny karkonoski przewodnik. Suną ze zgrzytem na pętłę przy ulicy Krakowskiej. Zjeżdżają zmęczone do starej zajezdni. Widzę jeszcze budkę dyspozytora, przed którą stoi tramwajarska brać, spracowana, ale pełna humoru, umiejąca się cieszyć nawet z drobnych spraw, podająca sobie solidarnie dłonie w niełatwej tramwajarskiej pracy. Wśród nich moi rodzice, uśmiechnięci i młodzi, jakich pamiętam z dzieciństwa.